

DOM SPOTKAŃ
Z HISTORIĄ
W WARSZAWIE

Ocalone
Piotra Rowickiego

reżyseria
Maja Kleczewska
kostium
Konrad Parol
muzyka
Cezary Duchnowski
choreografia
Anna Krysiak
video
Krzysztof
Garbaczewski

premiera
30 września 2024

Agnieszka Przepiórska
(Irena K.)



Apel

AUTOR: DOMINIK GAC

***Ocalone* upamiętniają ból kobiet** gwałconych na Zieleniaku w czasie powstania warszawskiego. Agnieszka Przepiórska poprzez ostre, ekspresyjne aktorstwo oddaje głos bohaterce zbiorowej.

■ Sierpień 1944 roku, Warszawa. I już wszystko wiadomo. A jednak nie wszystko. Powstanie warszawskie ma epizody utrwalone w zbiorowej pamięci i te prześlepione. Pamięć o zrywie, o okupacji, o wojnie jest – jak każda pamięć – wybrakowana. Patrząc na zdjęcia zrujnowanego miasta, można pomyśleć: wszystko jasne... A przecież każda sterta gruzów to osobna opowieść. Każde przysypane nimi ciało miałoby coś do dodania. To nie tak, że nie chcemy ich słuchać. Po prostu nie da się zapamiętać wszystkich cegieł.

Ich błada czerwień zlewa się w półmroku z szarością betonowych słupów na piątym piętrze PAST-y, gdzie usadzona na krzesłach publiczność oczekuje spektaklu. Zdobycie tego śródmiejskiego wieżowca było jednym z największych sukcesów powstańców. Opowieść, którą snuje w swoim najnowszym mo-

nodramie Agnieszka Przepiórska, nie sławi heroicznego czynu, nie opiewa oręża, choć zaczyna się od uroczystości odsłonięcia pomnika i kończy patriotycznym apelem. Irena K., bohaterka zlepią z wielu kobiet, pojedyncza i zbiorowa, przemawia wzruszona podniosłą chwilą i zmęczona długim życiem. Z każdym zdaniem na jej głowę spadają kolejne warstwy gruzu, spod którego wygrzebuje się, by ostatecznie stanąć na szczycie – ocalona. I o to napięcie między pomnikiem a ruiną, heroizmem a krzywdą, bohaterką a ofiarą toczy się walka. *Ocalone* w reżyserii Mai Kleczewskiej potwierdzają bowiem, że historia i pamięć są polem wiecznej bitwy. Poległych zastępują rekruci z kolejnych pokoleń. To dlatego Irena dwukrotnie cytuje *Oresteję* Ajschylosa. Opowieść o wojnie i przemocy wobec kobiet zaczyna się razem z naszą cywilizacją. „To

nie Klitajmestra tu przed tobą stoi, to demon / Który wziął odwet za krew dzieci”. I staje się jasne, że tytułowe *Ocalone* to także Łaskawe, czyli Erynie. Za co się mszczą?

Wspomnienia bohaterki dotyczą wydarzeń rozgrywających się kilka kilometrów od PAST-y, na ochockim Zieleniaku, gdzie w sierpniu 1944 roku wyznaczono punkt zborowy w czasie pacyfikacji dzielnicy. Ująć to można inaczej: targowisko zamieniono w skrawek piekła na ziemi. W Warszawie było takich skrawków wiele, ale ten wydaje się szczególnie straszny. Dowodzona przez rosyjskiego kolaboranta Bronisława Kamińskiego dywizja SS RONA dopuszczała się rzeczy, o których nie chce się pisać i nie chce się słuchać, a gdy już się usłyszy (o kręgosłupach pękających podczas masowych gwałtów), to potrzeba wysiłku, żeby zapomnieć. I wysiłku, żeby pamiętać – bo prze-

cież odsuwanie okropieństw zdaje się nie tylko instynktowne, ale i zdrowe. Wystarczy oderwać wzrok od aktorki i spojrzeć za okno, na rozświetloną nocną Warszawę. Jest bezpiecznie, jest spokojnie.

Przepiórska gra ostro, ekspresyjnie. Zaczyna od skromnej staruszki, ale już w niej widać chorobliwe rozedrganie. Aktorka kołując po biografii bohaterki, szybko zwiększa obroty i już ich nie redukuje. Krew na sukience, na twarzy, na rękach, nabierana dłońmi z wiadra. To, co symboliczne, jest wyestetyzowane i ordynarne zarazem. Grana pod ścianą scena gwałtu ma intensywność ataku. Szybko, dużo, mocno. Huśtawka z tyłu sali, bieganie dookoła widzów. Pedal gazu dociśnięty do podłogi, ale nie widać mety. O kolejnej już scenie myślę, że to finał, tymczasem zaraz za nią majaczy następny tragiczno-patetyczny szczyt. Aż po wspomniany apel. Najtrudniejszy fragment przedstawienia, ale o nim za chwilę.

O to, żeby wzroku od teatru nie odrywać, stara się nie tylko Przepiórska, ale także Krzysztof Garbaczewski, odpowiedzialny za wizualizację. Wyświetlane na trzech cokolwiek sfatygowanych ekranach wkomponowanych w ścianę niby muzealna ekspozycja. Artysta, znany z eksperymentów z VR, tym razem korzystał z dobrodziejstw AI. Archiwalne zdjęcia ożywają, by spotwornieć. Mutują w surrealne lub hiperrealistyczne kadry. Garbaczewskiego interesuje moment przejścia, w którym struktury rozpadają się i składają na nowo. Wizualne glitche ilustrują sedno wspomniania i zapamiętywania. Zapętlane, wyraźnie lub nieznacznie modyfikowane, sugerują obcowanie z jakąś dziwną, gęstą i lepłą materią, która przelewa się z kształtu w kształt – i choć jest cyfrowa, pozostaje fizyczna, bliska ciału. Tak naprawdę nie rozlewa się na ekranie, lecz w czasie. To ilustracja tego, co dzieje się z traumatycznymi wspomnieniami w naszych głowach. Obrazy są na tyle absorbujące, że chwilami trudno skupić się na aktorce i gęstym, szybko podawanym tekście. To bez wątpienia zdezerzenie światów. Nie zawsze klasycznie prowadzona rola zgrywa się z estetyką Garbaczewskiego i zamiłowaniem Kleczewskiej do wyrazistych gestów. Koncepcja odpamiętywania i uwalniania traumy usprawiedliwia pewien rodzaj pomieszczenia – trudno o porządek w rumowisku. Brakowało mi jednak lżejszych tonów, które pamiętam z poprzednich monodramów duetu Rowicki/Przepiórska reżyserowanych przez Annę Gryszkównę, choćby z *Simony K.*

Rozumiem, że *Ocalone* to inny ciężar gatunkowy niż biograficzna opowieść o Simonie Kossak, ale czasami szept dociera głębiej niż krzyk. Na ten rodzaj ekspresji znalazło się miejsce w poprzednim zrealizowanym w Domu Spotkań z Historią monodramie, czyli *W maju się nie umiera o* – tragicznej przecież – historii Barbary Sadowskiej. Tym razem jednak ciężar jest podwójny i nie składa się nań tylko historyczna waga tematu. Irena K. to kobieta, która przeszła przez Zieleniak i kobieta jako taka. Mówiąc o sobie, mówi o świecie. Wspomina przedwojenne kino, do którego jej nie wpuszczono, choć wystrzoiła się możliwie najdoroślej. W tle czai się pytanie: czy takie strojenie jest bezpieczne? Powinno być, ale kto tu ustala reguły?

Oczywiście, że ocalone z Zieleniaka to bohaterki, zwłaszcza te, które poświęciły się za swoje córki, ocaliły swoje matki, ojców czy braci, ale ich heroizm widzę przede wszystkim w dalszym życiu, w niezłomnym istnieniu z tak potwornym doświadczeniem.

Czy ta dziewczynka, która zakłada szpilki i maluje usta szminką, czy ci, którzy konstruuja obyczajowe kanony – a więc mężczyźni? Odpowiedzialni za patriariat, a zatem uprzedmiotowienie kobiet, oceniający, seksualizujący, wreszcie – gwałcący. „Idzie wojna, maszeruje hałaśliwa gromada mężczyzn ze spuszczonej spodniami. / Ogień, kamienne topory, dzidy, miecze, maczety, penisy. / Florety, rapiery, kusze, łuki, strzały, strzelby, penisy. / Idzie wojna, przez Bośnię, Syrię, Rwandę, Irak, Sudan. Ukrainę”. To wszystko prawda, ale czy cała prawda? Czy wojna i przemoc są kwestią płci, czy może ludzkiej natury?

To mydlenie oczu – powiecie – bo żyjemy, gdzie żyjemy, czyli w świecie rządzonym przez mężczyzn i powinniśmy mówić o tych traumach, które do tej pory były pominięte, zlekceważone, schowane za murem wstydu. To element postępującego procesu emancypacji kobiet. Nie sposób się temu sprzeciwić. Stąd wieńczący przedstawienie Apel Ocalałych „upamiętniający ból kobiet zgwałconych na Zieleniaku” i napisany nie przez Rowickiego, a Kleczewską. Pada tam jedno zdanie niedające mi spokoju: „Oddałyście życie i swoje ciała w imię miłości do ukochanego miasta, w imię wolności i braterstwa na

Ojczyściej ziemi”. Czy naprawdę ktoś więziony pod bronią, kto może uciekać tylko w jeden sposób – szukając kryjówki, słowem: ktoś, kto nie ma wyjścia, czy rzeczywiście taka osoba poświęca się dla ukochanego miasta w imię ideałów? A może jest ofiarą straszliwej zbrodni i doświadcza niewyobrażalnego cierpienia, które nie ma innego sensu? Dlaczego ta perspektywa miałaby być gorsza, mniej wartościowa? Koszmar jednostki pozbawiony wspólnotowej ramy traci na wartości – zdają się udowadniać twórcy *Ocalonych*. „Moje cierpienie nie wpisuje się w schemat. Jest plamą na wspólnotę, którą chcemy odbudować; wspólnotę narodową, polską, pełną bohaterkich czynów, wyrzeczeń i poświęceń. Ale to było poświęcenie!” – woła wcześniej Irena.

Czy droga do uhonorowania niewinnych ofiar wiedzie przez wpisanie ich w skrypty, które budzą nasze wątpliwości?

Pójdźmy o krok dalej. Czy trzeba stawiać pomnik grozie wojny, która przychodzi do miasta i mieli ciała jak cegły? Owszem, trzeba. W przeciwnym wypadku zapomnimy, taka nasza natura, a zapominać nam nie wolno. Czy jednak do owego pomnika potrzebna jest narracja zamieniająca ofiarę w bohaterkę? Oczywiście, że ocalone z Zieleniaka to bohaterki, zwłaszcza te, które poświęciły się za swoje córki, ocaliły swoje matki, ojców czy braci, ale ich heroizm widzę przede wszystkim w dalszym życiu, w niezłomnym istnieniu z tak potwornym doświadczeniem. Nie zaś w momencie, gdy wydano je na pastwę bliźnich, gdy odebrano im sprawczość, gdy ich życie zdawało się nie mieć znaczenia. Nie potrafię sobie wyobrazić, że w takim momencie myśli się o poświęceniu dla ukochanego miasta, o wolności, braterstwie, Ojczyźnie. Mam nadzieję, że w takich momentach nie myśli się o niczym. Że można przestać być i wrócić dopiero, gdy to się skończy. I nie wiem, jaki pomnik mógłby to oddać. Może ten, którego nie widać, bo zasłaniająca go kotara nigdy nie opada – jak w wizualizacji na ekranie. A może żaden. ■